Nr. 32. We Lwowie dnia 7. Sierpnia 1898. Rok 6.

Tydzień

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Komissja śledcza warszawska z r. 1863.

(Wyjątek z pamiętnika.)

Przedewszystkiem ma sobie za obowiązek piszący, odwołać się do wyrozumiałości czytelnika, jeśli w tem opowiadaniu znajdą się luki, szpary i opuszczenia ważnych nawet faktów. Najlepsza chociażby pamięć trzydziestoletniej próby czasu wytrzymać niezdoła, tem bardziej, gdy od bardzo już dawna nie ma tych, z którymiby te chwile rozpamiętywać można. Ciągu tu niema, bo być niemoże.. Autor z górą lat dwa przepędził w więzieniu, ztąd mógł widzieć jakąś tylko część wypadków i to wypadków tak niedościgłych dla oka więźnia. Zaledwie też tylko pewny stopień zadomowienia się i przebiegłości, jakiej koniecznie nabyć musi zamknięty przez czas dłuższy, objaśnić może prawdopodobieństwo pochwycenia ukradkiem i tej odrobiny faktów. Więzienia Królestwa Kongresowego były pod wielu bardzo kierunkami i regulaminami, przez różnych gorliwszych, albo więcej opieszałych mistrzów nadzorowane; system jednak odosobnienia był zawsze bacznie obserwowany i jeżeli ucieczka była prawie niemożliwą, skomunikowanie się z światem zewnętrznym a nawet wewnętrznym, do łatwych zadań nienależało. Dla tego wątek opowiadań często urywać się musi, bo oto zaledwie opowiesz czytelnikowi zażyłą rozmowę z towarzyszem więzienia prowadzoną, a jużci ta rozmowa przerywa się, bo ci tego kamrata porywają niespodzianie i już nigdy się o nim w przyszłości od nikogo dowiedzieć mimo starań nie zdołałeś.

Życie więźnia to szereg luźnych epizodów.

Początek opowiadania sięgnie epoki kiedy po stłumieniu powstania, rozporządzano ogromnym kontyngensem winowajców tak, aby roboty na lata całe wystarczyć mogło. No i przyznać trzeba, że starczyło na cały lat dziesiątek, a jak brakować zaczynało, to przecież nic nieprzeszkadzało, aby dawnym lokatorom napowrót gościnne progi otwierać.

Była to zatem nietylko władza dyskrecjonalna, ale w dodatku i chaos zupełny. Do lat dziesięciu gospodarowała w kraju komissja śledcza, a jakkolwiek przez ten przeciąg czasu różnemi modyfikacjami dekretów amnestyjnych pozornie krępowaną się być zdawała, to przecież na dowcipie wykluczania z pod amnestji wszelkich czynności z powstaniem związanych interpretatorom niebrakło. Jeżeli po darowaniu wszelkich win, z wyjątkiem kryminalnych, dało się komuś udowodnić, że w ciągu bitwy zabił kozaka, to tego rodzaju postępek nie do inszej kategorji jak do kryminalnej, jako proste morderstwo był mu porachowany. Tysiączne bo mieli ci panowie krotochwile swoje, niektóre nawet pełne humoru i inwencji, a że pensje mieli dobre, dodatki oznaczone i prawne jeszcze lepsze, a już najlepsze podobno te o których nikt niewiedział oprócz obydwóch stron interesowanych, więc przedłużali w nieskończoność, bo zawsze się przytem Bergowi tłómaczył prezydujący, że teraz jest dopiero na tropie odkryć najważniejszych. Trwało też wszystko aż do czasu, w którym się o zasadnicze kryminalnego prawa artykuły, opiewające wyraźne dla wszelakiego przestępstwa przedawnienie dziesięcioletnie, rozbić musiało. Niepodobna było, mimo niezmiernej ważności odkryć, jakie jen. Tuchołka wraz z satelitami dla bezpieczeństwa państwa dokonywał, wesołych dni przedłużać; wszystko, nawet komissja śledcza, musi się kiedyś kończyć.

Po Leuchtem i przeklętej pamięci pomocnikach jego pierwszym krokiem na drodze

modyfikacji systemu, pierwszym, jedynym i nader krótkotrwałym były próby margrabiego Wielopolskiego. Wyrobiwszy, co mu w każdym razie przez ludzi wszelkich przekonań policzonem być winno, że kary za przekroczenia polityczne odtąd w obrębie kraju odsiadywane być miały, ustanowił on komissję śledczą do spraw tego rodzaju w Modlinie i nadał jej charakter prawny, a osobistością przewodniczącego od możliwych napaści opinji zabezpieczyć się starał. A jakkolwiek nic nie gwarantowało trwałości tej instytucji i choć miała ona przeciw sobie całą hydrę równolegle z nią działających władz o charakterze tajnym i prowokatorskim, i choć nadto niebyło to jakoś w organicznej ze sobą harmonji, wspomnieć jednak o tem wypada. Prezesem zamianował margrabia prezydującego w sądzie Apelacyjnym Królestwa Józefa Wieczorkowskiego, który na objęcie nowego stanowiska wcale niesporo się wybierał, tak, że mu aż, wedle jego słów własnych, miał powiedzieć margrabia: »Albo pojedziesz do Modlina, albo cię tam zawiozą«. Czy tak było istotnie — niewiadomo, to pewna jednak, że tak opowiadał Wieczorkowski w streszczeniu historję swego współudziału w pracach margrabiego do »uspokojenia« kraju zmierzających. Trudno wiedzieć, co go odpychało od tej nowej karjery, czy niedostateczne rękojmie trwałości tej roboty, czy bardzo niewyklarowana jeszcze podówczas opinja, to pewna, że mu wtedy bardzo pilno nie było jechać, a po skończeniu już wszystkiego rozmowa o tem bardzo go drażniła. Słuszność jednak zdaje się mieć za sobą przysłowie francuskie: »Tout connaisseur ne tardera pas à devenir amateur.« Wieczorkowski po powrocie swoim do Warszawy, nie przestawał się sprawami temi interesować, a że dawnych podwładnych swoich, których w Modlinie sam dressował, miał w nowej instytucji, która pod jen. Tuchołką w przyszłości tak zakwitnąć miała, więc też o toku spraw wszelkich jak najdokładniej bywał poinformowany. Pomocnikami tymi, których naówczas z urzędu asesorów sądu kryminalnego zabrał ze sobą do komissji Modlinskiej, byli między innymi Bielski i Słupski. Bielskiemu ta karjera uśmiechała się o tyle, że ją tylko za szczebel do innej odpowiedniejszej dla siebie uważał, Słupski przeciwnie przylgnął całą duszą do tej nowej funkcji, którą przed końcem karjery swojej urzędowej bezpośrednio na krzesło w Senacie zamienił, a która dla tego tylko tak krótko trwała, że i Senatu dni w obec reformy sądowej, były już policzone. Niechajże już sobie ta władza w Bogu spoczywa, skoro na tych fotelach, które przedtem zasiadały nałogowe śpiochy, doprowadzający do rozpaczy najzdolniejszych obrońców naszych, teraz takim jak Słupski zasiąść było sądzono. Boczyli się też ostentacyjnie od nowego kolegi ujrzawszy go między sobą stare safanduły, ale umiał on być i głuchy i ślepy, kiedy słyszeć i widzieć niechciał. Niebył i dawniej Senat bez zarzutu, boć gdzie się Poklękowski i Wyczuhowscy mieścić mogli, tam niezaprzeczenie niewiedzieć już kogo było odrzucić, ale tamci byli mistrzami, a ten ostatnie posługi oddawał od żadnych się nie wymawiając. Porównanie zatem przedstawia się w rodzaju tego, jakie nasunąćby mógł Monsieur de Paris a jego służalcy. Pierwszy bywa przedmiotem ciekawości powszechnej, dziennikarze, próżniaki i wścibscy wszelkiego rodzaju poszukują go, podają mu rękę, a nawet potrochu przechwalają się temi stosunkami, co nieprzeszkadza bynajmniej, że jego drabów szczypczykami by się nikt niechciał dotknąć. Nie chcemy bynajmniej usprawiedliwiać podobnie sofistycznego eklektyzmu w ocenie ludzi i tolerowaniu, albo okazywaniu wstrętu nieprzepartego wbrew słuszności, ale cóż robić kiedyśmy już doszli w sądach naszych do tego, że niewydaje nam się niemożebną ręka, która najniemoralniejsze rozporządzenia podpisała, a krzyżem świętym żegnamy się przed tą, która zdecydowała się je wykonać. Wreszcie przyjdziemy jeszcze w szczegółowej charakterystyce tego człowieka do tego co go powszechności robiło niemożebnym więcej od innych.

Osobliwością w karjerze urzędowej, zarówno administracyjnej jak sądowej nie był u nas żadną, człowiek, który do tej karjery przez dantejskie wrota cytadel się wciskał, a jakkolwiek do szacunku i opinji przy dawniejszych skrupułach dojść niepodobna było takiemu nigdy, to przecież niekażdy z jednaką kondemnatą ztamtąd wychodził. Trzeba też powiedzieć, że taką nienawiść jaką z komissji Leuchtego wyniósł Rzuczkowski przezwany Morokiem i Blumenfeld, taką w naszych czasach ściągnął na siebie jeden Słupski. Rzuczkowski ani na chwilę opinji nie przejednał i dokonał życia obarczony licznymi procesami kryminalnymi, Blumenfeldowi udało się tę opinję odrwić w r. 1863, w sposób godny tylko jego. Już to w ogóle przyznać potrzeba, że jedną z właściwości ujemnych charakteru polskiego, przemawiających bardzo przeciwko nam jest manija, prawdziwie chorobliwa manija rehabilitowania ludzi upadłych. Wiele tam się na to składa rodzimej dobroci, czy dobroczynności naszej, a wiele na lekkomyślność odliczyćby wypadło, trudnoby w stosunku należytym i precyzyjnym określić; to pewna, że jest jedno i drugie i że to wszystko razem wzięte wytworzywszy ową chorobliwą żądzę przywracania do czci ludzi splamionych, oddaje nam usługi najsmutniejsze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka powieściowa i stowarzyszenia do czytania powieści w Anglji.

3)

Zebrania odbywały się w lokalu towarzystwa uniwersytetu ludowego, listy i odezwy drukowano na ręcznej maszynce drukarskiej tego stowarzyszenia. Dla czytania wybrano na początek utwory: Dickensa, Thackeray'a, Kingsley'a, Lyttona i G. Elliota, sekretarzowi zalecono udać się do osób kompetentnych z prośbą o wskazówki, na co należy zwrócić uwagę w tym lub owym utworze wyżej wskazanych utworów.

„Marcin Chuslevit“ Dickensa był pierwszą książką, przeczytany przez członków Związku, powodzenie jej najzupełniej sprostało oczekiwaniom. Po 6 miesiącach liczba członków wzrosła do 87 i dotąd się nie zmniejszyła. Do związku należą i mieszkańcy zamiejscowi.

Doświadczenie pierwszych kilku miesięcy wykazało niektóre braki w organizacji towarzystwa. Termin miesięczny okazał się zbyt krótkim dla obciążonych pracą członków, a literaci zwykle spaźniali się z nadsyłaniem żądanych wskazówek; mało też bywało referatów i ożywionych rozpraw na posiedzeniach. Po przedłużeniu terminu do czytania na 2 miesiące i dołączeniu do spisu „powag literackich“ uniwersyteckich lektorów (university extension) — braki wyżej wskazane zostały usunięte.

Wkładka członków, wynosząca 1 szyling (około 65 ct.) wystarcza najzupełniej na pokrycie wydatków Tow. Członkowie — albo kupują książki, albo pożyczają, albo też kilku członków nabywa ją na wspólny koszt i czytają po kolei. W końcu każdego miesiąca odbywają się poufne między członkami narady, na coby przedewszystkiem należało zwrócić uwagę w powieści, co winno być przedmiotem referatów i rozpraw. Członkowie przedstawiają niekiedy referaty wedle własnego wyboru, ale zawsze na temat, wybrany z przeczytanej książki.

Na zebraniach odczytują się też uzupełniające wypracowania, gdy referaty i dyskusja uprzedniego posiedzenia nie wyczerpały należycie danego tematu. Członkowie zamiejscowi nadsyłają również artykuły na ogólne zebrania i otrzymują na żądanie referaty miejscowych członków.

Sekretarz ogłasza co roku sprawozdanie z czynności Towarzystwa. Owoż z ostatniego takiego sprawozdania widzimy, że w ciągu 4-letniego istnienia towarzystwa odczytano 20 książek; przedstawiono 54 refer. i odbyto 34 posiedzeń.

Spis autorów uzupełniono przez dodanie nazwisk V. Hugo, Karola Rieze, D. Meredith, mistress Haskel, Eugenjusza Sue, K. Bronte itd.

Przykład górniczej wioski wywołał naśladownictwo w Londynie, znalazł też echo w miastach prowincjalnych. Znaczenie powieści, jako przewodników idei, wpływ ich w życiu dziś już jest uznany za tak ważny, że usprawiedliwia zupełnie zakładanie towarzystw stawiających sobie za cel wyłączny — studjowanie powieści.

Oto jeszcze kilka przykładów, wskazujących, na co zwrócono uwagę w odczytanych powieściach i jakie temata wskazywano dla dyskusji i opracowań.

„Opowiadanie o dwóch miastach“ Dickensa, wskazówki dał Justyn Mac Carthy, członek parlamentu, znany pisarz. Czem się różni opis tłumu franc. w tej powieści od opisu tłumu angielskiego w Barnaby Rege, — utworu tegoż autora. „Temat do dyskusji“: Czy człowiek może być zdolnym do szlachetnej ofiarności bohatera powieści? „Temat do wypracowania“: Charakter Kertona; jego rozwinięcie się pod wpływem czystej i bezinteresownej miłości.

„Rok 93-ci“ W. Hugo. Wskazówki dał A. D. Grent 1) W powieści niema ani jednego wybitniejszego charakteru kobiecego. Dlaczego pomimo to, powieść jest zajmująca? 2) odróżnić czysto francuskie cechy tego utworu. 3) Wykazać strony charakteru markiza de Lantenac, w których odźwierciadlają się najlepsze cechy starego porządku. „Temat do rozpraw“: Czy Cimourdain miał rację, gdy osądził na śmierć Govain'a. „Temat do referatu: Pogląd Huga na rewolucję.

„Alton Locke“ pow. Ch. Kingsleya. Wskazówki dane przez Artura Berry. 1) Jest to powieść tendencyjna, ma ona na celu mianowicie ostrzeżenie opinji publicznej co do złych następstw stanienia pracy (sveating) potępia taniość i konkurencję i wskazuje potrzebę łączności szlachty i duchowieństwa z klasą robotniczą przeciwko klasom kupieckim. 2) Wykazać zły wpływ Liliany na Altona. 3 Charakter Sandi Mackay'a. „Temat do rozpraw. Czy nawrócenie się Altona było naturalnem? „Temat do ćwiczeń“. 1) Czy z celami sztuki zgadza się propagowanie w powieści politycznych lub innych idei. 2) Literacki symbolizm. (Sandi Mackay—T. Carlyle).

„Cień miecza“, pow. Rob. Buchanana. Wskazówki dane przez p. V. Multona. Zwróćcie uwagę na osobistość Napoleona: „On nie jest człowiekiem; on jest bez serca“. „Temat do rozpraw“: Czy się udało autorowi uwolnić w zupełności Gwenferna od zarzutów tchórzostwa. „Temat do ćwiczeń“: Etyka wojny.

Tyle o sympatycznem towarzystwie. A teraz skromne pytanie: wszak i u nas istnieją kółka zajmujące się wspólnem czytaniem, wszak i w naszym kraju czyta się wiele powieści, czy więc nie dobrze by było, gdybyśmy się starali naśladować, w miarę sił i możności, przykład dzielnych górników z Bakwortu?

Jan Mioduszewski.

Lili.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy.)

— Wieczorem nie będę w domu! — syknęła zirytowana, że odmawia.

— To i lepiej — odpowiedział ostro i odwrócił się do Lili, która udawała, że nie słyszy tych kilku słów, ale gdy usiadł obok niej, spojrzała na niego bardzo wdzięcznem i słodkiem spojrzeniem.

— Na ile prześcieradeł mogę liczyć?

— Ja mogę dać trzy, dwa muszę zostawić, nie mielibyśmy spać na czem — tłumaczyła się Gałkowska.

— My możemy dać cztery! raz... dwa...

— To my tylko dwa, bo mamy całe cztery — zawołała Lili z rumieńcem.

— Szałkowska! a pani nic nie dasz? — zagadnął milczącą Korczewski.

— Dam sześć, Todzio zaraz przyniesie.

Mężczyźni nie deklarowali prześcieradeł, bo nic nie mieli.

— Jutro sobota, wigilja! Szkoda, że nie możemy grać w drugie święto, teatr byłby pełny. Trzeba czekać do czwartku! Panie Leonie, w drugie święto pojedziemy na wieś z biletami, afisze będą jeszcze dzisiaj, lecę natychmiast do naczelnika, żeby zdążyć podpisać. Dzisiaj jeszcze umówię się o stajnię, a od jutra Korniszon może zacząć malować dekoracje. Do widzenia! Okręcił się szalem i wybiegł, za nim rozchodzili się wszyscy.

Zakrzewski pomógł Lili się ubrać i wyszli razem, przeprowadzeni macierzyńskiem spojrzeniem Korczewskiej, która w dalszym ciągu robiła szydełkiem kółka, liczyła oczka, wyglądała oknem i uspokajała głaskaniem wydzierającego się na świat Murzyna.

— Panie Leonie — zaczęła Lili zaraz na ulicy, przysłaniając usta mufką, bo wiatr sypał śniegiem prosto w twarz — Proszę o rękę prędko.

Wyciągnął do niej rękę, a ona przycisnęła ją do serca mocno, pogłaskała kilkakrotnie i bardzo szybko pocałowała, zasłaniając natychmiast mufką oczy.

— Co pani robi! — zawołał i aż przystanął ze zdumienia.

— Bo pan taki dobry, taki złoty, taki... strasznie dobry — szeptała nie patrząc mu w oczy. Ja panu dziękuję za te pieniądze, które pan dał wszystkim; nikt panu nawet nie dziękował, nikt nawet nie mówił o nie, a pan sam dał, może to ostatnie pieniądze!

— Cóż w tem dziwnego, potrzebowali a ja miałem. Lili jest uprzykrzony, nieznośny dzieciak! Lili jest bęben, cicho! — zawołał nanaśladując Felusia i, jak on, pociągnął się za koniec nosa.

Lili rozśmiała się wesoło.

— Gdzie my idziemy, panie Leonie?

— Do Mamy! Po drodze kupimy ciastek, a jak Lili będzie grzeczna, to nic nie powiem, że dziecko kokietowało Jańcia.

— A nieprawda! Jak mamę kocham, nieprawda!

Uderzyła się piąstką w piersi tak energicznie, aż Leon roześmiał się szczerze i miał szaloną ochotę ucałować te cudne, dziecinne prawie usta, które zacisnęła z wielką powagą rozkapryszonego dziecka.

— Ja nie kokietowałam Jańcia, ja nie kokietuję nikogo!

— Wierzę pani, wierzę.

— Nie trzeba mnie nigdy posądzać o to, panie Leonie, nigdy.

— Dobrze.

— Niech mi pan poda rękę! Tak, ale mocniej, mocniej! o teraz dobrze — szeptała przyciskając się do niego ramieniem i podnosząc cudne błękitne oczy na jego twarz.

— Wie pan, ten inżynier powiedział mamie, że ja mam talent, czy to prawda?

— Prawda, ma pani talent rozkochiwania w sobie.

— A nieprawda! Ktoby się we mnie kochał, kiedy ja jestem strasznie głupia, strasznie i tę rolę Justysi w »Dzienniczku« grałam pod starym psem.

— Grała pani dobrze i jest pani strasznie ładna, strasznie! A przytem bardzo dobra, bardzo zdolna, nic nie zazdrosna o rolę, ach jaka dobra!...

— Nie, nie jestem dobra, nie — odpowiedziała poważnie i trzęsła główką przecząco, ściągnęła ciemne, prawie czarne brwi, aż się pomiędzy niemi zarysowała głęboka brózda.

Zakrzewski się ukłonił jakimś paniom, przechodzącym obok; odkłoniły się lekko i obrzuciły pogardliwo - aroganckim wzrokiem Lili. Spostrzegła to, zarumieniła się mocno, oczy zaiskrzyły sie jej, przycisnęła się silniej do niego i, gdy już panie owe przeszły, odwróciła się za niemi i pokazała im język.

— Co pani robi?

— A, jędze obrzydliwe, baby-Jagi, bazyliszki? — szeptała ze złością.

— Cóż one pani złego zrobiły?

— Nie widział pan, jak patrzyły na mnie, co? — Jak na jakie zwierzę z menażerji.

— Ależ zdawało się pani, to są najinteligientniejsze w mieście panny, bardzo dobre!

— Ale nie dla mnie. Mój złoty panie Leonie, zrobi pan, o co bardzo proszę? Co?

— Prawie obiecuję, ciekaw jestem.

— Niech się pan nie kłania, niech się pan z niemi nie zna, mój złoty, mój drogi panie Leonie! — prosiła ze łzami w oczach.

— Dlaczego, proszę mi dać jakie racje.

— Bo one mnie nienawidzą! Ja to dobrze czuję, dobrze...

Wzdrygnęła się i bezwiednie obtarła twarz chustką, jakby chcąc zetrzeć te zimne i pogardliwe ich spojrzenia.

— Pan myśli, że one są tak piękne, jak wyglądają? Ta starsza przyczernia sobie powieki i czerni brwi, dobrze kiedyś widziałem; a młodsza się różuje, naprawdę się różuje! Że one mnie nienawidzą, to już dawno czuję, dawno! Boże! jaka ja jestem głupia, cóż to pana obchodzi? — wykrzyknęła.

— Nic mnie Lili nie obchodzi, nic! nic! — powtarzał cicho, przyciskając jej rękę tak silnie, że aż syknęła, ale rozpromieniła się wielką radością

Szli w milczeniu, wymijali starannie olbrzymie kupy śniegu, z których wiatr zwiewał na chodniki obłoki kurzawy. Śnieg przestał padać, natomiast wiatr od czasu do czasu zrywał się gdzieś z pól i ze świstem przewalał się po ulicach miasteczka, kłębił w obłoku białych pyłów, zasypywał oczy i stragany pod ratuszem, okna parterowych domów, milknął nagle i jakby dławiony przez mróz, charczał i łomotał się po dachach blaszanych. Słońce wyjrzało blade, zimne, obumarłe i błyszczało martwe, jak wielka mosiężna tarcza świeżo wyszorowana, zapalało nikłe skrzenia w śniegach, prześlizgło się cicho po zamarzłych szybkach i zapadło znowu w białawej kurzawie przestrzeni.

— Jedziemy jutro na wigilię na wieś — odezwała się po chwili.

— To już jutro wigilja? Prawda! Zapomniałem zupełnie. Daleko jedziecie?

— Będzie podobno z pięć wiorst. Ta nasza gospodyni zabiera nas do swojej siostry.

— Ja chciałam, abyśmy zostali w domu, aby i pan z nami był na wigilji. Ale... ale... Okropnie mi w nogi zimno!

Nie mogła wykrztusić, że nie mieli wprost za co urządzić wigilji.

— A pan gdzie będzie jutro wieczorem?

— Ja! ja! — powtarzał wolno, budząc się z przypomnienień, co go obsiadły gwarną ciżbą — ja będę w restauracji! — kłamał z pewnym trudem, nie wiedział, gdzie będzie.

— Smutno panu będzie samemu, bez rodziny, co?

— Będę nie sam, będę ze wspomnieniem pani! — powiedział żywo, ale dosyć twardo.

Uderzył ją ten niespodziewany dźwięk; spojrzała na niego i nic się nie odezwała.

Poszarzał im nagle świat. On coś rzekł, ale słowa porwał mu wiater; co buchnął z bocznej ulicy, brodząc po puszystym śniegu, który kórzawą wstawał na ziemi. Stare, poodbijane z tynków, domostwa pochylały się z obu stron i patrzyły na nich zielonawemi oczami okien. Gromada dzieci biła się w jednem miejscu tak zajadle, że tuman białych pyłów otaczał ich obłokiem, w których tylko chwilami czerniły się ich kontury; rzeźwe, młode głosy dźwięczały ostro w powietrzu i odbijały się o domy. Psy szczekały radośnie i tarzały się w śniegu pod nogami przechodniów.

— Wejdzie pan do nas? Choćby na chwilę — dodała widząc jego omroczenie.

Skinął głową, i weszli do małego parterowego domku, oddzielonego od ulicy sztachetami, malowanemi na zielono. Lili mieszkała z matką, w maleńkim pokoiku od podwórza.

Matka siedziała pod oknem, okręcona w kołdrę, bo zimno było w pokoju; czytała odcinki dzienników, oprawne w niebieski aktowy papier; była to jej ciągła i ulubiona lektura. Podniosła oczy na wchodzących, skinęła Zakszewskiemu głową i czytała dalej.

Lili poszła się rozbierać za parawanik, który osłaniał kominek i łóżko, a Leon usiadł na kanapce, której pokrycie było niegdyś wiśniowe, i również niegdyś było aksamitne i całe, bo teraz nie miało żadnej barwy, a dziury i szwy niezliczone, i końce wyłażących sprężyn pokryte były szydełkowym pokrowcem. Stół staroświecki, okrągły, na jednej nodze, okryty włóczkową serwetą, dźwigał wielką lampę osłoniętą abażurem z niebieskiej bibułki i stojącą na patarawce z zielonej włóczki, imitującej tra-

wę, z której wychylały się różowe gniazdka, pełne żółtych ptaszków, wyciągających niebieskie dzioby. Na ścianach, pokrytych blado-niebieskim papierem w róże czerwone, wisiały jakieś stare fotografje, majaczące spłowiałemi, zatartemi twarzami, jak widma, kilka pożółkłych portretów sławnych ludzi i dwa powinszowania, wyszyte na kanwie i oprawne w czarne ramy.

Podłoga była utrzymana niezmiernie czysto, ale każda deska zosobna uginała się jak huśtawka, aż stolik się kołysał i wysoka serwantka, stojąca pomiędzy oknami, brzęczała szybami i masą talerzy i cacek porcelanowych, jakie po za szkłem były ustawione. W rogu pokoju, poza matką, stała trzcinowa półka, pełna książek starych, poobdzieranych i kompletów »Tygodnika ilustrowanego«. A nad kanapką wisiało stare, wpół oślepłe lustro w poczerniałych ramach w stylu cesarstwa.

W pokoju panowała wielka cisza, przesycona zapachem jabłek, które się czerwieniły z poza szyb serwantki, i zapachem starości. Wszystko tutaj było tak stare, połamane, wytarte, stoczone przez czas i robaki, że tylko wielkim nakładem pracy mogło się trzymać w całości. Pokój odnajmowały od jakiejś staruszki, domierającej w sąsiednim od ulicy pokoiku,

Zakrzewski, ilekroć wchodził do tego mieszkania staroświeckiego, poważniał, bo mu ten pokój przypominał pokój babki i dom rodzinny. Teraz również miał takie uczucie, patrząc na drzwi, że za chwilę usłyszy stuk kija babki, lub zobaczy wchodzącą matkę.

Lili w milczeniu uwijała się po pokoiku, a potem na dość długo zniknęła za parawanikiem, aż się ukazała ztamtąd z herbatą już gotową. Włosy przy robocie tak się jej roztrzęsły, że zakrywały czoło i spadały ze wszystkich stron na twarz.

— Co pani czyta? — zapytał matki, aby przerwać to dziwne milczenie, jakie panowało.

— »Tajemnice grobowca«. Straszną rzecz! Nie ma pan pojęcia, co ta nieszczęsna Blanka cierpi! Biedny René. Mój Boże, Mój Boże, jak to ludzie cierpieć muszą! — mówiła cichym, zamatowanym głosem, wstając, aby sobie wziąć herbatę; piła ją pospiesznie, od czasu do czasu czytając jakiś ustęp powieści.

Gdy skończyła herbatę, otuliła się w kołdrę, usiadła do nich plecami, zakryła uszy rękami i zatopiła się znowu w czytaniu, wycierając czasami oczy pełne łez współczucia dla nieszczęsnej Blanki i biednego René. A młodzi siedzieli przy sobie, pili herbatę i bardzo mało mówili do siebie. Zakrzewski odpowiadał monosylabami, bo ten pokój dziwny, ta ordynarna łatanina, zimno i cisza dziwnie go rozdrażniały, a przytem już od rana dzisiaj nosił w kieszeni list od matki, list, który go przepalał tęsknotą do domu i głuchym niepokojem o jutro. Lili bała się przerywać mu zadumę, więc tylko patrzyła na niego coraz smutniej, i jakiś dziwny, nieokreślony lęk przejmował jej duszę.

Gdy wreszcie odchodził, prędzej niż zwykle, bo nie mógł już wytrzymać, odprowadziła go do sieni i na pożegnanie cichutko zapytała:

— Ale pan przyjdzie jeszcze do nas?

I patrzyła mu w oczy ze strachem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegląd pism.

Na podstawie pracy Karola Simonda w „Revue des revues" p. t. „Życie i śmierć neapolitańskiego Grachusa" p. G. opowiada pokrótce w „Prawdzie" warszawskiej dzieje powstania w XVII w. Neapolu, ówczesnej prowincji hiszpańskiej. Bohaterem, chwilowym zwycięzcą, a w końcu męczennikiem jednego z pierwszych buntów przeciwko rządom Hiszpanji był rybak z Amalfi, Tomasz Aniello, czyli, jak go nazywano ogólnie Masaniello. Błahy na pozór wypadek dał hasło do powstania. Dnia 7 lipca 1647 roku poborcy hiszpańscy ściągali, jak zwykle, podatki na rynku neapolitańskim od przekupniów miejskich i włościan okolicznych, gdy wtem jakiś rybak stanowczo odmówił zapłacenia żądanej daniny. »Odpowiedzią na to ze strony poborców hiszpańskich — pisze p. G. — było brutalne wytrącenie z rąk opornego koszyka z towarem, potężne razy pięścią i płazem oręża, wreszcie wleczenie do więzienia. Lecz duch oporu jest już zbudzony w tłumie, nie odda on teraz tak łatwo na pastwę swego towarzysza. Ruchy stają się coraz gorętsze, okrzyki coraz groźniejsze, poborcy zaczynają się oglądać za pomocą. Nagle, z przeciwległego końca rynku, gdzie igrzyska ludowe zgromadziły kwiat młodzieży, rozbrzmiewa okrzyk potężny. To wieść o zajściu tam dobiegła i dowództwo nad tłumem obejmuje człowiek w kwiecie wieku, wzrostu niskiego, o cerze smagłej, oczach czarnych, z cienkim wąsem i wystającym nosem, człowiek, którego Neapolitańczycy witają przeciągłym okrzykiem:

— Evviva Tommaso Aniello!

Nowe posiłki decydują zwycięztwo. Poborcy ratują się ucieczką, a biedny rybak, któremu groziły tortury i kilkoletnie więzienie, jest ocalony.

Aniello jakkolwiek młody jeszcze, jednak zaznał już biedy i nieszczęścia niemało. Żonę jego władze hiszpańskie aresztowały, gdy chciała zanieść do miasta, nie otrzymawszy na to pozwolenia, worek mąki. Wykupy, podatki i kary

zrujnowały go ostatecznie. Aby nie umrzeć z głodu, wziął się do sprzedawania ryb i w krótce nie było na rynku w Neapolu człowieka bardziej popularnego i cieszącego się większem poważaniem niż Masaniello.

— Co radzisz nam czynić? — pytano go często. — Znów zwiększono podatek od owoców i jarzyn.

Masaniello miał na to jednę tylko odpowiedź:

— Co czynić?... Stawić opór!

Stało się nareszcie podług słów jego. Neapolitańczycy zbuntowali się, i miasto w przeciągu siedmiu dni było w mocy powstańców. Lecz przez cały ten czas kradzieże i łupieztwa były największą rzadkością. Będąc wszechwładnym panem miasta, tłum nie ruszył pałaców i mienia bogatych. Ci nieliczni, którzy dopuścili się przestępstw, nie mieli nic wspólnego z rewolucją, korzystali z niej tylko.

Pierwszem żądaniem zbuntowanego ludu było zniesienie podatku od mąki; następnem — wypuszczenie na wolność tych wszystkich, którzy byli więzieni za wszelkie przestępstwa natury niekryminalnej. Ks. d'Arcos, namiestnik Neapolu i Sycylji, widział się zmuszonym przystać na wszystko, lecz, nie będąc w stanie stłumić powstania siłą, ucieka się do zwykłego sposobu:

— Możesz sobie zapewnić królewskie wynagrodzenie — każe on powiedzieć trybunowi („capo del popolo") — jeśli porozumiesz się z władzą i uśmierzysz powstanie.

— Jeśli pieniądze twe są ceną za zdradę — odrzekł Masaniello, pogardzam niemi; jeśli są nagrodą — nie są mi one potrzebne.

Poczynając od trzeciego dnia powstania, wszelki opór hiszpanów jest złamany. Masaniello zniża podatki, wypuszcza więźniów, rozdaje oręż wszystkim Neapolitańczykom, skazuje na wygnanie urzędników hiszpańskich. Ale jednocześnie rozkazuje wystawić na wszystkich ulicach portret Filipa IV i ogłasza, że walczy on nie przeciw królowi, lecz przeciw nadużyciom.

Ks. d'Arcos probuje wtedy nowego środka: posyła zbirów z rozkazem zamordowania trybuna. Lecz zamach nie udaje się i kończy się jedynie śmiercią zbirów, rozszarpanych przez tłum rozwścieczony.

Nie mogąc wprost złamać trybuna, ks. d'Arcos nasyła nań niejakiego Gialio Genovino, który swem pozornem oddaniem się sprawie ludu umiał zdobyć zaufanie Masaniella. On to nakłania tego ostatniego, ażeby udał się do pałacu namiestnika i podyktował mu w ostatecznej redakcji żądania ludu. Masaniello waha się przez czas pewien, w końcu jednak ulega z warunkiem, iż lud będzie zawiadomiony o tym jego kroku. W tym celu zgromadza mieszkańców Neapolu, którzy odprowadzają swego wodza do wrót pałacu vicekróla. Łatwowierny Masaniello, dając wiarę hojnym obietnicom namiestnika, z balkonu pałacu zwraca się do ludu z zapewnieniem, iż sprawa ulg i wolności może być uważaną za wygraną, i prosi go o rozejście się, gdyż jemu osobiście żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

Tłum się rozprasza, Masaniello zaś wracając na swe miejsce honorowe przy stole, wychyla puhar za zdrowie króla. Nagle twarz jego się wykrzywia, oczy zapalają się nienaturalnym ogniem, ruchy staje się gwałtowne: to działa trucizna, wlana do jego kielicha. Zachowując jednak tyle jeszcze przytomności umysłu i panowania nad sobą, aby zrozumieć swe warjactwo Masaniello ucieka do klasztoru karmelitów, gdzie po pewnym czasie odzyskuje zdrowie. Wtedy, sądząc, że ma w kardynale Filomarino sprzymierzeńca i przyjaciela, zwierza mu się ze swoich planów, obiecuje ostatecznie lud uspokoić, spełniając jego żądania. Lecz nagle, pośród tej rozmowy, drzwi celi jego się otwierają i czterech zbirów, wysłanych przez ks. d'Arcos, wpada przez nie z okrzykiem:

— Niech żyje król hiszpański! Śmierć Masaniellowi!

— Szukacie mnie? Oto jestem... — spokojnie odpowiada trybun i pada, krwią zbroczony.

Było to dnia 16 lipca 1647.

Nowe książki.

Der Grundgedanke in Henrik Ibsens Dichtung. Eine litterarische Untersuchung von Axel Garde. Autorisierte Uebertragung aus dem Dänischen von. phil. Carl Küchler Leipzig 1898.

Niedawno temu (20 marca) cały świat ucywilizowany obchodził siedemdziesięcioletnią rocznicę urodzin Henryka Ibsena. I u nas obchodzono ją jak zdołano. Dzienniki poświęciły osobne artykuły jubilatowi, w teatrze odegrano „Upiory" — ale publikacji zakreślonej szerzej, któraby rozpatrzyła krytycznie działalność literacką Ibsena dotychczas nie posiadamy.

Wprawdzie monografję Ibsena jeszcze w r. 1875 wydał hr. Engeström, w roku 1888 dr. Wollerner poświęcił mu broszurę, — ale były to publikacje problematycznej wartości.

Ze względu na rozmiary nie można jeszcze pominąć pracy dr. Ludmiła Germana p. t. „Henryk Ibsen" (1895) — niestety, tylko ze względu na rozmiary, bo prócz za obszernych streszczeń niektórych dramatów niczego więcej, ani analizy, ani syntezy w tej książce nie znajdziemy.

Dlatego z konieczności, chcąc się zaznajomić z zapatrywaniami krytyki na twórczość Ibsena, musimy się udawać do obcych.

Jedną z lepszych publikacyj wydanych z powodu rocznicy Ibsenowskiej zdaje się nam być przytoczona w nagłówku.

Autor jej, Axel Garde, Duńczyk, młody, utalentowany historyk literatury otrzymał w roku zeszłym w Kopenhadze pierwszą nagrodę od „filologiczno-historycznego towarzystwa“ za pracę p. t. „Metoda Gruntviga“ i cieszy się sławą dobrego znawcy Ibsena — te właśnie dane nakłaniają nas do zaznajomienia czytelników z tem dziełkiem.

Wniknąwszy w treść utworów Ibsena — rozpoczyna Axel Garde — przedstawi się on nam najpierw jako bezwzględny sędzia, roztrząsający i badający wszelkie ułomności społeczne okiem zimnego badacza; jeżeli jednak wnikniemy głębiej przekonamy się, że myśliciel ten nie raz wątpi i jest gdyby lekarzem bakterjologiem, przeklinającym mikroskop, który mu dozwala spostrzegać choroby takie, jakich inni dostrzedz nie mogą. Gdy zaś jeszcze głębiej wnikniemy, przekonamy się że skandynawski dramaturg posiada serce pełne miłości i pobłażliwości — pomimo bezwzględności tak często ujawniającej się w jego dziełach. Ta bezwzględność jest bowiem tylko sposobem, narzędziem przy pomocy których Ibsen walczy i broni swych ideałów.

Są bowiem dwa rodzaje idealistów. Jedni idealiści-romantycy czyli bierni, drudzy idealiści-realiści czyli czynni. Pierwsi, widząc niezgodność pomiędzy tem czego pragną a rzeczywistością, szukają odnowienia w sferach nadobłocznych, w marzeniach, w fantazji, — drudzy bronią swych ideałów z całą otwartością, walczą o nie z zapałem a nieraz nawet bezlitośnie. Ibsen z grona pierwszych przeszedł do grona drugich. Poemat jego „Na wyżynach“ uważać można za ów punkt zwrotny. Treścią tego utworu jest zerwanie poety z przeszłością i walka wewnętrzna w celu umocnienia się do boju o swe ideały.

A ideałami tymi przedewszystkiem umiłowanie bezwzględnej prawdy, obalanie wszelkich przeszkód, zagradzających rozwojowi osobowości, walka z obłudą, fałszem i wiara w zwycięstwo tych ideałów w przyszłości.

Już w czasie „romantycznym“ ideały te wybijają się na wierzch, pomimo, że Ibsen w historycznych dramatach — napisanych przed poematem „Na wyżynach“ a obejmujących prócz „Catyliny“ trzy inne: „Pani Inger na Östraat“, „Święto na Solhang“ i „Bohaterowie Helgolandu“ — zdaje się dopiero szukać kształtów odpowiednich dla wyrażenia swych myśli.

Już w nich ideały te, jakkolwiek mniej wyraźnie, są zaznaczone. W „Pani Inger na Östraat“ zaznacza Ibsen szerzej następnie przez siebie rozwiniętą zasadę, że człowiek powinien być samym sobą, to znaczy unikać kłamstwa i obłudy — w „Święcie na Solhangu“ jedna z postaci, Signe, jest jakoby pierwowzorem kobiet Ibsenowskich, nie znoszących żadnych więzów i idących za popędem swych wewnętrznych przekonań.

Po tych trzech dramatach historycznych Ibsen z idealisty-romantyka przedzierzguje się w idealistę-realistycznego. Zwraca się do współczesnego życia społecznego i rozpoczyna czynną walkę o swe ideały.

Bronią, którą się posługuje jest satyra. W „Komedji miłości“ biczem satyry chłoszcze obłudę związków burżuazyjnych, zawieranych ze względów użyteczności lub ciasno pojętej moralności.

Następnie tworzy swe najgenialniejsze (zdaniem Axela Garde) dzieło „Pretendentów do korony“. Daje w niem dwa bowiem typy, które odtąd ciągle powtarzać się będą w jego utworach, w osobach Jarla Skule i Hakona.

W Jarlu Skule odtworzył Ibsen ową chwiejność zdolności, z których nie ma realnych korzyści, ów brak ideału u współczesnego człowieka — w Hakonie zaś daje nam silną, bezwzględną naturę, która zdaje się odpowiadać jego ideałowi.

Następne dwa poematy: »Brand“ i „Per Gynt« są niejako pogłębieniem »pretendentów“. Per Gynt jest Jarlem Skule, pozbawionym jego stron dodatnich — Brand zaś Hakonem, którego idea przechodzi w fanatyzm, w monomanję.

Następne dzieło „Związek młodzieży“ uderza na fałszywy liberalizm, za co nawet, zupełnie niesłusznie, pomawiano Ibsena o konserwatyzm, jak gdyby to przy rewolucyjnej naturze jego było możliwem.

Rewolucyjność tę stwierdza najzupełniej dramat „Cesarz i Galilejczyk“ którego treścią jest walka przeżytej kultury z nową, przyczem Ibsen uzasadnia swe przekonanie, że żadna epoka nie może żyć myślami epoki minionej.

Omówionemi dziełami okazał Ibsen, jak się na społeczeństwo zapatruje i że ideałem jego jest prawda, oraz okazywanie się samym sobą (sei persönlich wahr, sei dein eigenes Selbst). Następne dzieła są niejako objaśnieniami tego punktu widzenia, ze względu na najrozmaitsze kwestje społeczne.

W „Podporach społeczeństwa« domaga się, by ludzie „powszechnie szanowani rzeczywiście na to zasługiwali — w „Norze“ i „Upiorach“ zastanawia się nad małżeństwem, wykazując, że nie może się ono opierać ani na konwenansie, ani na fałszu, bo wtedy węzły jego albo rozerwać się muszą, albo stają się kajdanami.

Gdy zaś zacietrzewiona krytyka uderzyła nań, pomawiając z powodu tych dzieł o »niemoralność“, odpowiedział społeczeństwu gryzącą satyrą p. t. »Wróg ludu“. Przedstawił w tym utworze mieszczańską moralność w całej jej bezwstydnej nagości i w szlachetnej dumie uzasadnił tezę, że najsilniejszym jest człowiek samotny, to jest żyjący po za społeczeństwem pełnem kłamstwa, fałszu i obłudy.

Po chwilowem zwątpieniu, zaznaczonem w „Dzikiej kaczce“, gdzie Ibsen zastanawia się, czy też kłamstwo nie jest ludziom koniecznie do szczęścia potrzebne, powraca on znów do swych zastrzeżeń i w „Rosmersholmie“, w „Pani morza“ i w „Hedzie Gabler“ roztrząsa kwestję ze stanowiska wolności osobistej kobiety.

Następnie w dwu utworach, w „Mistrzu Solnesie“ i „Małym Eyolfie“ zdaje się Ibsen zbaczać z właściwej mu drogi — staje się przedewszystkiem głębokim psychologiem, wzbija się na zawrotne szczyty symboliki, (czego Axel Garde nie uwzględnia), by znów w ostatniem swem dziele „John Gabrjel Borkman“ powrócić do dawnych idei. John Gabrjel ginie, albowiem nie był »samym sobą“.

Przyjrzawszy się przeto literackiej działalności Ibsena — kończy Axel Garde — nie można uważać go za biernego pesymistę. Przeciwnie, człowiek walczący całe życie o prawdę i odpowiedzialność osobistą, oraz o jak największy rozwój osobistości indywiduów, musiał posiadać silną i pewną wiarę w przyszłość.

Zdzisław Art.

Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana).